



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Nowy-Świat Nr. 1250 (nowy 55).

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80. W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgera i Spół., kwartal. tal. pr. 1 sgr. 20.

Z ŻYCIA.

Ministerium wychowania publicznego wydało i do kuratorów okręgów naukowych rozesało okólnik, odnoszący się do nadzoru nad domową nauką czytania i pisania ludności wiejskiej. Ze względu, że nie wszyscy włościanie mogą dzieci swoje posyłać do szkoły, gdzie pobierałyby naukę udzielaną przez nauczyciela wykwalifikowanego, pozwala się, aby czytać i pisać uczyły wszelkie osoby, którym tylko władze duchowne i policyjne nie mają nic do zarzucenia. Dla uniknięcia nieporozumień, wyżej wzmiankowany Okólnik wyłącza, że jakkolwiek na zasadzie prawa z d. 25 Maja 1874 roku (paragraf 2) osoby zajmujące się prywatną nauką domową podlegają władzy i kontroli dyrektorów i inspektorów szkół ludowych, jednak nie stosuje się to bynajmniej do nauki czytania i pisania, udzielanej dzieciom włościańskim, i zajmujące się tem osoby, nie potrzebują wcale posiadać stwierdzonych przez władzę kwalifikacyj naukowych, czyli patentów, nie potrzebują otrzymywać pozwoleń od nikogo, i tylko miejscowa władza duchowna lub policyjna, może się dalszemu ich nauczaniu sprzeciwić. Przeciż na mocy zarzutów od tychże władz wychodzących, nauka może zostać przerwana, a nawet osoba nauczająca, może zostać z gminy wydalona.

Zatem każdy człowiek uczciwy a chętny, każdy pragnący krzewić między ludem oświatę, może pracować na polu najpierwszego i najważniejszego oświecania ludu, i nie potrzeba na to zakładania kosztownych zawsze szkół, przyzywania patentowego nauczyciela. Pod każdym dachem wioski, w każdej izbie, alkierzu, komnacie, może się nauka odbywać, światło szerzyć, mogą umysły młodego

pokolenia wieśniaków otwierać się dla wiedzy, która ma następnie przyjść do nich w postaci książki, i potrzeba tylko dobrych chęci, trochę poczucia obywatelskiego i chrześcijańskiej bliźnich miłości—potrzeba trochę myśli o przyszłości, której częścią jakąś jest każde rosnące do niej dziecko, ten człowiek jutra, który po nas wśród społeczeństwa naszego, będzie żyć i działać. Młodość uczyć, młodość kształcić, to w grunt, pod stopami naszymi będący, ziarno przyszłych zbiorów wsiewać.

Dla pracy kobiecej otwiera się pole szerokie. Cały świat cywilizowany uznał, że kobieta jest najlepszą a nawet powinna być koniecznie pierwszą, dzieckiem nauczycielką: więc teraz oto zostaje otwartem dla niej miejsce obywatelskiej służby, które zająć powinna, jeżeli kobieta jest rzeczywiście istotą zdolną do organicznej pracy w społeczeństwie. A postawić tu można jedno jeszcze *jeżeli*: jeżeli jej miłość dobra ogólnego jest uczuciem prawdziwym, a nie uczuciem fantazją, uczuciem awanturą. „Miłość wszystko może, miłość wszystko potrafi“, powiedział św. Paweł, bo niema miłości innej tylko czynna, miłości innej tylko gorąca, ofiarnicza, poświęcająca się dla ukochania swego. Kto kocha biernie, letnio, nie kocha wcale, i, albo przed innemi uczucie zmyśla, albo okłamuje sam siebie i sumienie swoje. Czy kobieta nasza kocha lud, czy kocha społeczeństwo swoje?—oto chwila próby, egzamen, który składać będzie. Jak w uczuciu instynktownem i wtedy jeszcze, gdy nauka nie wypowiedziała wcale zdania swego w tym kierunku, pracę oświecania ludowego składano u nas zawsze w ręce kobiety, dowodzi to całe mnóstwo złych i dobrych, z talentem i bez talentu pisanych powiastek, obrazków, w których zawsze sercem szlachetna, umysłem podnioslejsza dziewczyna młoda, kształcenie dzieci wiejskich za obywatelskie zadanie sobie uważa. Każda kochająca ogół swój panienska ze dworu takie miejsce ma sobie wyznaczone w pojęciu naszym idealnej dziewczycy; niecenie światła, pielęgnowanie iskry

świętej, przeszło na nią niby spadkiem po tej słowiańskiej kapłance wieków dawnych, która w kontynach Żywie z rucianym wiankiem na czole, ognia Bogów pilnowała, od zagaśnięcia go strzegła. Pierwowzór to jest, typ kobiecości szlachetnie uduchowionej, który nazawsze w pamięci pozostał.

Co może poświęcenie, praca wytrwała i cierpliwa, dowiódł akt uroczysty, zamykający rok szkolny w Instytucie Głuchoniemych i Ociemniałych, odbyty w d. 30 Czerwca r. b. Nie można bez wzruszenia przypomnieć sobie widoku, jaki przedstawiał obrazu tych istot, skazanych na największą nędzę życia, bo osamotnienie, odcięcie od świata, a z drugiej strony na okrutny los żebraczego istnienia dla znacznej ich liczby, gdyby nie miłosierdzie chrześcijańskie, nie szlachetne, poświęcone usiłowania znacznych ludzi, których praca i ofiarność rzuciła biednym dzieciom pomoc, niby linę ratunku tonącemu. Akt rozpoczął się odmówieniem pacierza przez głuchoniemą uczennicę drugiej klasy, mową ustną i migową, poczem chór ociemniałych wykonał chóral kompozycyi nauczyciela zakładu p. Stattlera; wreszcie przemawiał zasłużony dyrektor Instytutu, pan J. Papłoński, przedstawiając obraz równej działalności zakładu. Instytut kształcił w ubiegłym roku szkolnym 200 głuchoniemych i 42 ociemniałych, przytem oddziały równoznaczne w filii Instytutu przy ulicy Piwnej miały 45 przychodniów głuchoniemych: razem więc kształciło się 287 wychowanców, których umysłowo rozwijać i wyuczyć jakiejś chlebobdajnej pracy jest zadaniem zakładu. W kształceniu głuchoniemych, trzyma się zakład metody niemieckiej Hennecke'go, według której uczy się głuchoniemych mówić, gdy francuzka metoda de l'Epée'go polega na mimice i nauce pisania. Z układu ust, który naśladuje, uczy się głuchoniemy wydawać głos, co przywraca mu niejako mowę, a choć ma ona przykry dźwięk, brzmienie jej jest jednak dość wyraźnem, aby zrozumianą była, i to da-

je wyższość metodzie Hennekego, pozwala bowiem biednej głuchoniemej istocie wyrazić głosem chęci, czy uczucia swoje, i być przez ludzi w ten zwykły sposób zrozumianą, a zarazem ludzi przez ruch ust rozumieć. Wydaje się to rzeczą niemożliwą i jakgdyby cudowną, a jednak obecni mieli przed oczyma żywy tego dowód na egzaminowanych uczniach i uczennicach zakładu. Pierwsza klasa oddziału równoznacznego w filii przy ulicy Piwnej wykazała, że w przeciągu dziesięciu miesięcy dzieci wyuczyły się tam czytać, pisać, poznawać z poruszenia ust wszystkie dźwięki naszego języka, przytem wyuczyły się już wymawiać przeszło sto wyrazów, nazywając otaczające je przedmioty głosem bardzo wyraźnym. Czy to nie cud prawie? Uczennice drugiej klasy oddziału równoznacznego przy ulicy Piwnej umieją już nazwać 1.000 przedmiotów i razem określić ich przymioty i znaczenie. Od lat dwóch dopiero oddziały równoznaczne zaprowadzonymi zostały, więc trzeciego niema jeszcze, i otwartym zostanie w przyszłym roku szkolnym, co ogólną liczbę wychowanców Instytutu powiększy o 15, podnosząc ją do 302 osób. Egzamen klas wyższych wykazywał dokładnie jeszcze, do jakich postępów doprowadzić może wychowanców nauka w Instytucie pobierana. Dyrektor Papłoński przeczytał w miejscu wskazanym mu całą stronicę powiastki, nie wymawiając przecież wyrazów, a tylko poruszając ustami, i uczennice piątej klasy powtórzyły za nim głosem wyraźnym i dosłownie cały ustęp przeczytany. Można powiedzieć raz jeszcze: że to cud prawie!

Potem klasa piąta rozwiązywała zadania rachunkowe i to dość trudne, z pamięci; odpowiadała na pytania z zakresu stosunków społecznych, administracyjnych i sądowych, z przepisów co do stanu cywilnego, co dowodziło, że w umyśle wychowanców Instytutu wprowadzono wszystkie ważniejsze pojęcia ustroju towarzystwa ludzkiego, i nie są to już nieszczęśliwe, nieswiadomego niczego Parye ludzkości.

Egzamen ociemniałych polegał głównie na muzyce, która jest najważniejszym przedmiotem w ich wykształceniu. Orkiestra wykonała uwerturę z *Dziesięciu cór na wydaniu*; jeden z wychowanców odegrał na fortepianie „Bajaderki“ Rubinsteina, wreszcie dał się słyszeć kwartet na instrumentach rżniętych, poczem chór ociemniałych odśpiewał dwa numery z oratorium Mendelssohna: „Prorok Elias“ i „Rozdano w końcu 60 przeszło nagród, oraz patenta i pochwały, następnie sami wychowawcy wręczyli wybranemu z pomiedzy siebie, jako „najlepsze“ kosztowny zegarek złoty, ofiarowany na ten cel przez Dra Stummera, otrzymał go głuchoniemy Strolis. Wzorowi uczniowie i uczennice, kończący nauki, otrzymali zapomogi pieniężne z zapisów: s. p. Persówniej i Budzińskiej; wreszcie zwiedzano pracownice zakładu, który miał w roku ubiegłym działalni 17. Największy dochód przyniosła zakładowi pracownia wychowanek głuchoniemych, których piękne hafty i szycie ręczne, zaznaczyło się już na Wystawie Pracy Kobiecej i ma wśród publiczności warszawskiej takie uznanie, otrzymuje tyle zamówień z miasta, że czysty zysk w roku ubiegłym wyniósł 1.600 rs; drukarnia zakładu dała go 1.500 rs.; działalnica stolarska 700 rs.; działalnica szewcka i krawiecka miały najmniej zarobku w gotowiznie, bo też odzież i obuwie wychowanców zakładu wykonywane tam były w zupełności.

Przyszłość wychowanców i wychowanek głuchoniemych jest już zapewnioną obecnie, skoro zdolni są porozumieć się z ludźmi, a przy rozwiniętym umyśle mogą z powodzeniem oddawać się wszelkiemu rzemiosłu. Ociemniali przecież są stokrót nieszczęśliwsi, szczególnie ociemniałe dziewczęta. Ociemniali wychowawcy instytutu, wykształceni w muzyce, bo z rzemiosłem tylko pleceni słomianek wyuczyć się są zdolni, mogą zarabiać na życie, grywając na zabawach tańczących, po restauracjach i ogródkach, co im ułatwia wspólna praca przy wspólnym mieszkaniu bezpłatnym, które otrzymali za staraniem dyrektora Papłońskiego w gmachu po-Augustyańskim przy ulicy Piwnej, gdzie dawne cele zakonne służą im za schronienie. W roku zeszłym głuchoniemi muzycy grali na przeszło 500 zabawach tańczących, co przyniosło niektórym po kilkaset rubli. Ale

dziewczęta ociemniałe, których pracowite i bardzo dokładnie wykonane roboty ręczne, przeważnie z włóczki, podziwiano przy zwiedzaniu pracowni Instytutu, nie mają przed sobą i tej nawet, względnie szczęśliwej przyszłości, lecz dzięki ofiarności ludzkiej i gorliwej działalności dyrektora Instytutu, znajdują teraz i one schronienie. Z zapisu Wincentego Jasińskiego, który wykonawcą ostatniej swej woli uczynił dyrektora Papłońskiego, założony został dom schronienia dla dziewcząt ociemniałych w miejscowości Janopol, położonej, w bardzo blizkim sąsiedztwie Druskienik, od których oddziela ją tylko Niemen. Fundusz utrzymania dla dziewcząt ociemniałych prowincji tamtejszej; przecież i wychowanki, wychodzące z Instytutu warszawskiego, będą w stanie jakotako wieść tam życie z robót kobiecych, jakich wyuczono je w Instytucie. Coroczny zjazd gości do wód druskienickich, pozwala liczyć na ich zbyt i ofiarności ludzką.

Instytut utrzymuje rocznie trzydziestu wychowanców czy wychowanek głuchoniemych, z procentu od legatów przez zakład posiadanych.

M. I.

MIŁOŚĆ WIEKÓW UBIEGŁYCH

STUDYUM Z PRZESZŁOŚCI

przez

Maryana Dubieckiego.

(Dalszy ciąg).

Obowiązek społeczny nakazywał pilnować całości gniazd rodzinnych, nie kazić ich obcym obyczajem, zabraniał wprowadzania nowych żywiołów wychowawczych, jaki bezzaprzeczenia narzuciłaby zawiązującej się rodzinie matka pochodząca z rodu obcego. A tu tymczasem, pod mglistym niebem duńskim tysiące pokus stawało. We własnym kraju łatwiej było o stoicyzm, o powtarzanie z Reyem starej przypowieści: — „Staj-że mocno przy cnocie, niech kto chce szaleje“, łatwiej o urzeczywistnienie monego stania przy cnocie; lecz wśród obcych rzeczy się miały inaczej: zdarzały się rafy na nurtach życia, o których we własnym kraju nie słyszano, spotykały się zbiegi różnych okoliczności, kollizye przetrudne, szalano więc, i o mocnem staniu przy cnocie nie mogło być mowy.

Wrażliwość serc naszego szczepu powszechnie tak była wielką, iż już Dantyszek, opisując w łacińskich rymach swe miłosne przygody, spotykane poza krajem, niezbyt ufa swej odwadze odparcia pokus, lecz ze średnio-wieczną naiwnością tak się wyraża: — „I czy łądem czy morzem zawiniesz gdzie w gości — zmienny amor do nowej pokusza miłości“.

Jednym tu lekarstwem była odsiecz rozwagi, rozumu; lecz nie każdy mógł się tej odsieczy spodziewać, nie każdy miał w zapasie tego rodzaju cennych sprzymierzeńców. Ludzie o mniejszych zasobach umysłowych padali ofiarą pokus, zagłuszali w sobie na chwilę głos wzywający do szanowania obowiązków społecznych, i taki „czelada“ Wolski, niedługo się namyślając, staje na kobiercu godowym z duńską dziewczicą, gotując dla rodu swego temsamem zupełne zatracenie. Później żałowano śpiesznego kroku, cofano się; ale to było zapóźno. Matka cudzoziemka z cudzoziemczyć mogła i zaiste z cudzoziemczyła, całe rodzinne gniazdo. Rycerstwo wyższego umysłowego polotu, czerpało, siłę oporu w głębszym, bardziej wyrozumowanym poczuciu obowiązków społecznych. Bolo nań nad tem koniecznym zrywaniem z uludnymi marzeniami, które się unosiły nad morską falą wód duńskich, niemniej jednak zrywano. Poczucie obywatelskiego obowiązku było tarczą, dodawało mężstwa, słodziło ciężką dobę przelomu.

Nie jeden towarzysz pancernego znaku srodze tę chwilę przeboleł, nie jeden, opuszczając duńskie wybrzeża, a na nich cel swych uczuć, mógł wyrzec słowami Dantyszka: „Czy podobna bez bólu, komuś, co ma duszę, pisać się dobrowolnie

na takie katusze“... Pisano się jednak na nie, targano węzły świeżo zadzierzgnięte na obczyźnie, śpieszono do kraju rodzinnego; powoływały tam bowiem obowiązki, a miłość wyższa nad inne, miłość swej ziemi, nakazywała rozbrat czynić z uczuciem, które w sprzeczności być mogło z pożytkiem kraju. Jednostka poczuwała się do solidarności z ogółem, każdy, bodaj małuczki, nie nieznaczący atom, wobec ogromu narodu mierzył bezwiednie swe kroki ze skalą potrzeb i pomyslniej przyszłości kraju, urzeczywistniając tę myśl pełną prawdy, którą już w naszym stuleciu poeta wyraził następującymi słowy: „Drobniak nie jest błahością. Drobna w kropkach rosa Rzeźwi ziemię i w sobie odbija niebios“...

Zpośród tłumu takich cichych walk wewnętrznych, które wrzały w głębiach niejednego z naszego rycerstwa, a doszły do nas w ogólnych tylko konturach, jedna z nich zarysowuje się wyraźniej. Widzimy parę jej chwil; widzimy je zapisanemi w pamiętniku Paska; on sam bowiem przechodził przez owe katusze walki uczucia z obowiązkiem i kilku rzutami pióra odtworzył blady konterfekt smutnych dziejów swej duńskiej miłości...

Nie uczy nas pan Pasek gdzie i przy jakich okolicznościach poznał on duńską dziewicę, podczas tej potrzeby na wyspach Dani, gdzie nasz oręż, wspierając Duńczyka, niósł krwawy odwet Szwedowi aż na skandynawskie wody. Zdaje się, iż wojskowe kommissoryum poruczone mu było w celu ściągnięcia pewnej ilości żywności i kontrybucyi na żołd dla naszych chorągwi. Pokojowe to zajęcie, przebywanie dłuższe w domach duńskiej szlachty, dały mu możność bliższego zetknięcia się z zamożniejszymi warstwami krajowców i poznania ich rodzin. W gronie jednej z nich miał miejsce cichy i niedługi dramat miłosny naszego rycerza-pamiętnikarza. Pan Pasek zapewne długo gościł pod rodzicową strzechą swej duńskiej bogdanki, udzielił się poznać jej krewnym, a nawet zdobył uczucie życzliwości domowników i czeladki. Dobrodusznie opowiada on nam, iż taki „affekt do niego uroszcili“, niedość bogdanka w nim zakochana, ale rodzice i domownicy, że cała czeladź domowa i „poddani za własnego syna pańskiego mieli go“¹⁾. Nie wiemy dokładnie jak długo to trwało. Podobno jednak kilkumiesięczny okres zabrała owa duńska miłość pana Paska, okres więc stosunkowo zbyt długi, by ją można zaliczyć do szeregu pospolitych przelotnych obozowych miłostek.

Życie obozowe nasuwało zwykle rycerstwu dużo roztargnień. Czas się nadzwyczajnie dłużył żołnierzowi, który był zmuszony jakąś, nieco bardziej przewlekłą, dobę spędzać zdala od szczyku oręża. Wówczas rycerz, jak nam mówią, wcześniejsze nieco, ale pewne świadectwa przeszłości, — wówczas rad dni spędzał wśród wspólnych biesiad, szukając wycieczki w gronie ludzi również orężnego rzemiosła. Ale ponieważ biesiada niezawsze wystarczającym była czasu strawieniem, używano go tedy i innymi sposobami, gdyż tam, jak Rey powiada, „żadny czas bez jakiej krotofili być nie może“... Kiedy bowiem zdarzały się umysłowo podnioslejsze potrzeby, to nie przestawano na „dzbanie i żołędnym tuzie“, lecz wybierano szlachetniejsze rozrywki... Były to ściganie się, gonitwy, szermierka, łowy, strzelanie z łuków do celu, rzucanie kamieniami z procy, nie mówiąc już o wesołej, zapelnionej dowcipem pogadance.

Takich dni wezasu miał stosunkowo dość pan Pasek podczas ostrej duńskiej zimy z r. 1658 na 1659, i wtedy to właśnie, ściągając jakieś wojskowe rekwizyty, na Jutlandzkim Półwyspie, poznał on ową bogdankę, dziewicę duńską, która ku niemu — o czem sam nam mówi — wielki „affekt uroszcila“... Nazwisko jej nieznane. Imię tylko przechowała pamięć przeszłości. W pamiętniku Paska jest przytoczony jej list, z którego widzimy, iż się podpisywała — „Eleonora“. Pasek, prawdopodobnie owiele lat później spisujący wrażenia dawnej miłości, z naciskiem mówi o jej wyższym umyśle. Miała ona umysł ukształcony i „niezwyczajną naukę“. Opieramy się tu na świadectwie zakochanego pamiętnikarza, świadectwie, które w każdym razie tylko w pewnej części może być przesadnym. Pasek nie zna miary dla po-

chwał jej, mieni ją dziewczyną, której „gładkość niewypowiedzianą była“... Patrzył on oczami zakochanego. Promienie wzroku, przez pryzmat uczucia przechodzące, oślniewały go. Sam on nie wiedział, jak się to działo, iż oczy jego wciąż się zwracały ku owej skandynawskiej dziewczynie. Pan Pasek wybornie zeznawał, iż tysiące przeszkód legło między nim a tą jego duńską, ukochaną bogdanką; długo walczył z uczuciem, przywoływał na pomoc rozwagę; wszystko to było napróżnem. Jednego dnia, po modlitwie, w której rycerz ówczesny pociechy szukał, już postanawia nasz pamiętnikarz stargać węzły uczucia przywiązujące go do wysp duńskich, zapomnieć o ukochanej i wracać do Polski ze swemi hufcami, gdy na powrót w obozie zatrąbią; lecz, niestety, nazajutrz wszystko się zmienia: Pasek zapomina o walce i postanowieniach doby poprzedniej i wołać gotów do swej narzeczonej wraz ze współczesnym mu Jędrzejem Morsztynem:

„Obrazie bóstwa, nieśmiertelnej wzorze
Urody gładziej nad rumiane zorze,
Jasna godności gwiazdo, z którą ani
Porówna słońce, ni jej miesiąc zgani...
Najdoskonalsza natury roboto,
Pociecho oczu, serc ciężka ochoto,
Śniegu napozór, ogniu w samej rzeczy...“

Tak w swych „Erotykach“ śpiewał J. Morsztyn: Pasek tożsamo mógł za nim powtórzyć, gdyby władał „mową bogów“, gdyby wieszce natchnienie mogło doń zstąpić... Pasek jednak nie był poetą, i rubasznie, w sposób niekiedy zbyt lakoniczny, pokronikarsku, zapisuje swe walki zewnętrzne i pasowania się wybujałego uczucia z obowiązkiem.

Nie mając żadnych wskazówek, bardziej uwydatniających te bóle serca, tę walkę uczuć naszego rycerza, który oprócz takich wzmianek, jak „pasowałem się z myślami, niby z niedźwiedziami“, nie sięgał po głębszą analizę miłości, zapożyczamy słów Jędrzeja Morsztyna, współczesnego mu poety, w dziwnie obrazowy sposób zarysującego powstawanie i rozszerzanie się uczucia w piersi owoczesnych pokoleń. Piewca miłości tamtoczesnych ludzi, tak opiewał żarzewie budzącego się i gwałtownie szerzącego uczucia:

„I jako kiedy lecie zajmie się przedziwo
W piekarni lub świetlicy, kiedy śpi, co żywo,
Samo się w sobie dusi, niż się ściana sucha
Zajmie, potem płomieniem wybucha,
Próżno wtenczas gospodarz o ratunek woła,
Cała gromada zgasić pożaru nie zdoła;
Tak we mnie miłość potajemnie tłała,
Teraz na wierzch przez obie oczy, okna ciała,
Łzami się pokazuje; wewnętrzne zapaly
Ten wilgotny dym pędzą i ten perz zetlały.
Próżno wołać ratunku, rozum nie pomoże...“

Ze starej tej, morsztynowskiej erotyki wytryska myśl wieku, roztacza się przed nami wstęga uczuć prastarych pokoleń, których miłość była gwałtowną, burzliwą, rozsadzającą, niby mina podziemna, szeroką pierś rycerza, okutą w zbroję, pod którą biło serce zdolne równie namiętnie kochać, jak nienawidzić... Dni zobojeźnienia jeszcze nie były wówczas nadeszły: nie przeczuwano, że wieki następne miały powołać do życia pokolenia o bladych licach i bladym uczuciu...

Zdawało się w pierwszych chwilach owej zamorskiej miłości pana Paska, iż jego losy popłyną tąż cichą falą, bijącą o wybrzeża Jutlandyi, jaką płynęły losy jego duńskiej bogdanki, iż nic im nie stanie na przeszkodzie, by wspólnie iść drogą życia. Ona mieniła go swoim; jej rodzice mieli go za syna; domownicy, czeladka, całe otoczenie domowe, wszystko, co było związaniem temi bądź owemi węzłami z ową bogdanką, patrzyło już nań jako na członka rodziny swych panów. Gdy Pasek opuścił jej okolice, a w nieco dalszej z obozem

przebywał, „listy — jak sam się wyraża — latają często ztamtąd“... W listach tych Eleonora nie ukrywa swej miłości. Mówi o niej wyraźnie: znać wiek ówczesny i obyczaj Narodu Duńskiego nie wymagały niezwyčajnego doboru wyrazów, by ukryć, bodaj pozornie w słowach, to, co gorzało całą pełnią życia w sercu. A więc, pisząc do Paska, mieni ona siebie „do zgonu najprzywiązańszą“ i upewnia go szczerze, w wyrazach znamionujących prostotę, dalekich od przesady i sentymentalizmu późniejszej epoki, iż „miłość tkwić będzie niezmiennie w jej sercu...“

Pomimo tak wyraźnego oświadczenia swej miłości, zdaje się, iż Eleonora mniemała, że coś jeszcze nie jest przez nią wypowiedzianem, że co do siły jej uczuć może jej ukochany mieć jakies wątpliwości, śpieszy przeto dodać następujące słowa, pełne nieudanego zapału... „O gdybyś, Pannie, mógł czytać w sercu mojem te dowody moich uczuć ku Tobie...“

Wątpliwości tu żadnej nie było i być nie mogło. Pasek wierzył w szczerść, podziwiał ogrom i siłę uczucia swej bogdanki, oświadczył się już był jej oddawna — o czem sama mówi nam w jednym ze swych listów — i, będąc pewnym jej przywiązania, dziwi się wciąż, z kąd tak „wielki affekt ku niemu urosł“... Tych zapewnień miłości — słów, przysięg, łez, listów — odbierał nieustannie niezmiernie mnóstwo. Wszystko to wprawiało naszego rycerza w dziwne upojenie szczęściem, w pewnego rodzaju radosne zakłopotanie. Obie strony zapominać się zdawały, że może nad nimi zawisnąć chwila niepowodzenia, która rozwieje marzenia zakochanych, niespostrzegających, że ciernie spotykają się na każdym szczęścia gościńcu, że i najpiękniejszy kwiat w krainie rzeczywistości pada pod mroźnymi powiewy... Zakochani o tem nie myśleli; nie zatruli pomyślności chwili obecnej przypuszczeniami burzliwego jutra: ale inni, zdala na nich patrzący, ostrzegali zapewne, że i szczęście ma swój kres, że rycerz, jak przybył niespodzianie, z kądciś, zdala, z zamorza, tak również za morze, do swej dalekiej ojczyzny kiedyś odpłynie; i godzina rozłąki, godzina rozwiania najśmielszych rojeń, jest nieuniknioną. Naprowadza nas na myśl, iż głosy ostrzegające, głosy zimnej rozwagi brzmiały niekiedy nad tą spokojną napozór dziedziną zakochanych, naprowadza nas na tę myśl, jedno zdanie Eleonory, przez nią w jej liście wypowiedziane.

(Dalszy ciąg nastąpi).

NA BIALSKIM ZAMKU

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

Z czasów Augusta III-go

przez

Józefa Ign. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg).

Imieniny obchodziły się solennie, z nabożeństwem uroczystem u Fary i we wszystkich kościołach, z biciem z działa i moździerzy czasu obiadu i wiatów, z powinszowaniami duchowieństwa, na którego czele stał proboszcz bialski i słucki, biskup Ptolemaidy ks. Riokur, z mowami i podarkami nawet, które, jako tak możnemu panu, ofiarowywano w osobliwościach rzadkich, a tylko rzadkością swą kosztownych.

Na zamku też stosownie czyniono przygotowania, dla przyjęcia choćby najliczniejszej frekwencji gości wszelkiego stanu i stopnia.

Dla najdostojniejszych stół w paradnej sali, dla średniego stanu — marszałkowski, przy którym szlachecy dworzanie panów zasiadali, dla służby natomiast i czeladzi stoły i beczki musiały być obmyślane.

Zbytlich wydatków nie lubił książę, lecz gdy

miał wystąpić jako Radziwiłł w oczach świata, nie skąpił niczego, *pro honore domus*.

Pomimo tych przygotowań wesolych i widowczych już dowodów czci powszechnej, jaką książę otaczano, bo się go wszyscy lękali — mimo że nic jawnie zasmucać nie było powinno chorążego; księżna krajczyna przybywszy tu pierwsza, postrzegła (na kilka dni przed 4 Maja), że i książę chorąży i samo księżna i otoczenie ich najbliższe, wcale do wesołości nastroszeni nie byli.

Książę wyglądał niedobrze, blade, chodził z ciężkością, często usta zaciskał, jakby go co bolało, i niezmiernie drażliwy był a gniewny.

Przy obcych usiłował twarz rozjaśnić, nawet próbował się uśmiechać, lecz wysiłek ten, ciężki, natychmiast w niwecz się obracał, czoło chmurzyło się, myśl odlatywała gdzieś; nie słyszał co mówiono doń i odpowiadał niestosownie.

Dubiski doktor na zapytania księżnej i Wojewody Czarniechowskiego dawał zaspakajające odpowiedzi, zawsze jednakie: — Unikać emocyi, nie poruszać się, strzedz wszelkiej alteracyi.

Przepisy było doskonałe, lecz wykonanie ich nadzwyczaj trudne, gdyż jak raz, jadąc do Zawieprzyc w swaty z p. Sadowskim, któremu chciał siostrę żony dać, chorąży nagle na popasie zniechęcił się do niego, dlatego, że za długo pas zawiązywał — tak i teraz ledwie nie przelajująca mucha w gniew go mogła wprawić. Cóż dopiero ludzie?

Gdy był w takim usposobieniu, upatrywał do nich różne rzeczy. Jeden się nie kłaniał, jak należało, drugi patrzył koso, trzeci nie odpowiadał jasno, a niektórym buty śmierdziały.

Pomiędzy przybywającymi najgłówniejszym przedmiotem rozmów i zajęcia było: A zrobił książę testament, czy nie?

Zamykał się ciągle z ks. Riokurem, a wychodząc biskup miewał palce atramentem powalane... Zdawało się więc, że chyba nad testamentem pracowali. Drudzy utrzymywali, że testament bez Matuszewicza się obejść nie mógł, a ten tak bywał temi czasy zajęty, iż do Białej nie zajeżdżał. Przebąkiwano też, iż się zraził do chorążego, który obiecywał dużo a nie dawał nic, czego Matuszewicz nie lubił.

W Nieświeżu zagadka testamentu nie schodziła ze stołu i książę z listem gratulacyjnym wysłał Ponikwickiego, aby tam w miejscu wywahał prawdę.

Tymczasem w Białej nawet nikt niczego pewnym nie był.

Jeden Wolski, który ostatnimi czasy jeszcze w łaskach urosł i wielką miał konfidencyą z księciem, zapewniał rzeźko, iż testamentu nie było i nie będzie. Ale znano pana łowczego, iż mu wierzyć nie było można, bo mówił co mu było potrzeba, i gotów był przysięgać, a jutro z własnej wymiwać się przysięgi, i w dudków, co w nią wierzyli.

Ks. Riokur, polityk wielki, nie miał tego zwyczaju, aby się komu zwierzał. Usta miał zamknięte, uśmiech na nich dla wszystkich — i dyskrecyą. Stworzony do obcowania z panami, wiedział, że milczenie tu dobrze płaci.

Wnosząc z fiziognomii księżny chorążyny, która w sprawie tej testamentowej najmocniej była interessowaną, spodziewając się dożywocia i zapisów, można było sądzić, iż Wolski miał słusność, bo księżna chodziła, ile razy się nie wysilała na spokojne oblicze, zafrasowana bardzo i posepna.

Nadszedł oczekiwany dzień św. Floryana, nibyto majowy, niezbyt chłodny, zrana zagrażający deszczykiem. Na pogodę nikt nie zważał i wszyscy się postroili letnio, w najparadniejsze suknie, od atlasów i axamitów.

W Białej było tak, jakby najuroczystsze święto; od rana bito we dzwony i wszędzie do nich w pomoc musiano wezwać młodzież, która z taką przyjemnością na sznurach się wieszła i kołysze z niemi.

U Fary celebrować miał ks. biskup Ptolemaidy, a kanzanie szczególną zwracało ciekawość wszystkich, gdyż miał je wygłosić, znany z wielkiej pobożności i wymowy, sławny dominikanin, ks. Obło-

rzadkie w ludziach jego plemienia, a oddał on Francji niemałe usługi. Ozdobiony orderem Legii Honorowej, nosi z dumą czerwoną wstążeczkę przy swym narodowym stroju. Posiadacz znacznej majątku, powiększonego jeszcze dość dużą pensją, przywiązana do urzędu prefekta, Dokfu urządził sobie ładne i wygodne mieszkanie, gdzie wielce rad przyjmuje gości. Odwiedziny nasze w Szolen miały się właśnie zakończyć obiadem wydanym przez niego, na nasze zżesz. Poczciwy i inteligentny prefekt, oprowadziwszy nas po swym domu, od suteren do poddasza, pokazał nam tygrysy we własnej menażeryi i pochwaliwszy się ciekawymi zbiorami swego muzeum, uraczył nas rzeczywiście wybornym obiadem przyrządzonym na sposób europejski. Obok krzesła każdego gościa stało dwóch chłopców: jeden napelniał kieliszki, drugi poruszał ciągle wachlarzem dla ochłodzenia powietrza. Przy deserze, wbrew annamickim zwyczajom, pani domu w otoczeniu swych piskląt przyszła nam złożyć *las* (powitanie). Pomiędzy dziećmi zauważyłem dziewczynkę mogącą mieć od ośmiu do dziesięciu lat, cudnej urody; dziecko miało przepyszne czarne oczy, śniadą jego cerę ożywiało rumieniec w którym widać było krew zdrową i szlachetną!

Gdy patrzyłem zdziwiony na ten typ znajdujący się w domu krajowca, amfitryon nasz odezwał się z uśmiechem:

— Myślisz pan zapewne w tej chwili, że to nie moje dziecko, i masz słusność. Annamici są zbyt szpetni, aby mogli wydać na świat coś równie pięknego. Towarzysze pana znają pochodzenie dziewczątka; oni to panu powiedzą.

Dowiedziałem się później, iż śliczna dziewczynka była córką francuzkiego oficera i Annamitki. Ojciec wyjechał, porzuciwszy, jak tyłu innych, dziecię krwi swojej, licząc na ślepy los szczęścia, że się nią zaopiekuje i zastąpi jej rodzinę. Zaczynał Dokfu spełniał tym razem rolę owego opiekuńczego losu.

Wieczór upływał nam bardzo wesoło. Po kawie dzieci z matką oddali się i podczas gdy chłopcy służebni nie przestawali nas z całych sił chłodzić olbrzymimi wachlarzami, weszły tancerki, zamówione przez Dokfu a który chciał nam sprawić niespodziankę i dać wyobrażenie o choreograficznej sztuce Annamitów. Wreszcie, około pierwszej po północy, wyczerpawszy wszelkiego rodzaju rozrywki obmyślane dla nas przez uprzejmego gospodarza, powróciliśmy do gmachu zarządu, gdzie po raz pierwszy od przybycia do Kochinchiny spałem snem spokojnym i pokrzepiającym, na łóżku szerokim na dwa metry, wolny od ukąszeń mustików, w pokoju chłodnym, posiadającym dostateczną ilość powietrza.

A wypoczynek ten o tyle był cenniejszym, iż noc następną mieliśmy spędzić na balu.

Bal w pałacu wielkorządcy! Czy mieszkaniec Francji może sobie dokładnie wyobrazić: co to jest bal w Saigonie, podczas upałów dochodzących trzydziestu, lub trzydziestu pięciu stopni; w kraju do którego trudno przypuścić, aby się odważyła przybyć kobieta, jeżeli nie zabiła ojca lub matki? a przecież kto mówi „bal“, ten mówi zarazem „kobieta“, bo jeżeli do przyrządzenia potrawy z zająca można w ostateczności spożytkować swojskiego kota, to, chcąc wydać bal, trzeba koniecznie kobiet; mężczyźni przecież nie tańczą ze sobą, chyba majtkowie na pokładzie okrętu. Otóż kobiety są i więcej nawet, aniżeli ich potrzeba, dlatego też wielkorządca nie jest nigdy w kłopotcie o kontyngens niewieści potrzebny do utworzenia sześciu lub ośmiu kadryłów.

Wprawdzie utrzymywać, że tancerki kwitną zdrowiem, byłoby zbyt śmiałym twierdzeniem; niejednej zielonawa cera przegląda zpod różu i warstwy najlepszego pudru, i rzadko kiedy skończy się bal, bez dwóch lub trzech nagłych ucieczek dla niewyjawionych przyczyn, lecz których się

wszyscy domyślają, a nie są one wcale poetyczne. Tego wieczora przecież tancerki przedstawiały się nader powabnie. W tym samym bowiem tygodniu okręt i statek przywiozły świeży zastęp pań, znaczna liczba nowoprzybyłych nie zapłaciła jeszcze daniny ognistej ziemi: więc też we wspaniałych salonach pałacu wielkorządcy nie brakło wcale świeżych ubiorów i świeżych twarzy.

Dla zaproszonego a niebiorącego w tańcach udziału i pozostającego pomimo wszelkie nalegania w charakterze prostego widza, było uroczy obraz. Wieczór, rozpoczęty teatralnym przedstawieniem, danem przez trupę chińską, składającą się wyłącznie tylko z kobiet — zakończył się balam.

Z obszernych ganków, otaczających pałac, na których stały długimi szeregami fotele i łóżka bambusowe, można było widzieć wszystkie salony i słuchać dźwięków grającej tam marynarskiej orkiestry.

Potęgo cywilizacji, która potrafiłaś w mniej aniżeli w ćwierć wieku zamienić bagnisko w miasto, która możesz o tysiące mil od lądu Europy przenieść wszelkie wytworne i wyszukane wygody starego społeczeństwa — ty jesteś cudowna! Cóżby powiedział duch Fang-tan-giana¹⁾, gdyby ponury i pełen wyrzutów sumienia, powróciwszy jakiegoś wieczora na tę ziemię, wydaną przez jego zdradę *Barbarzyńcom*, usłyszał echo zburzonej swej twierdzy, powtarzające walce Straussa lub kadryle Offenbacha!

O trzeciej rano jeszcze tańczono, bo admirał, wychodząc polecił swym adiutantom dodawać ducha zabawie i przeciągać ją najdłużej, jak tylko będzie można; po trzeciej jednak uznaliśmy za właściwe wymknąć się cichaczem i powrócić na okręt.

Nazajutrz rano, po zabranii na pokład oddziału piechoty i rozmaitych officerów przeznaczonych do towarzyszenia wyprawie do Tonkinu, holując przytem mały statek z działami, opuszczaliśmy Saigon, żegnając serdecznymi życzeniami uprzejmych jego mieszkańców, lecz ciesząc się w głębi serca błogą nadzieją nieujrzenia ich, aż chyba pod łaskawszem niebem. Prózne marzenia! zła nasza gwiazda miała nas wielokrotnie jeszcze sprowadzić do Saigonu; ty jednak, czytelniku, nie lękaj się; możesz stanowczo pożegnać to miasto: nie poprowadzę cię tam już więcej.

V. Wyjazd z Saigonu. — Xuandai. — Wyspa Kulao-Kam. — Burza w przystani. — Trąba morska. — Uwagi nad małpą. — Zatoka Fo-ya. — Przechadzka na los szczęścia. — Piętnaście minut obawy. — Przybycie do zatoki Tonkinu.

Podróż nasza z Saigonu do Zatoki Tonkińskiej, gdzie mieliśmy wysadzić na ląd naszych pasażerów i pozostawić kanonierkę, była pełną przygod. Wypłynawszy 23 Października o dziesiątej rano, zaledwo 7 Listopada znaleźliśmy się przy ujściu rzeki Kam, na wschodnim wybrzeżu Annamu. Droga więc nasza zabrała nam dwa razy tyle czasu, ile go potrzebują w warunkach normalnych parowce średniej nawet szybkości.

Pierwszego dnia pogoda była dość piękna i pomimo holowania kanonierki, co znacznie utrudniało bieg naszego okrętu, płynęliśmy jednak po ośm węzłów. Lecz, przepływając około przylądka Padaran, trafiliśmy na tak wzburzoną falę i przeciwną prąd, iż bieg nasz znacznie zwolnił; zaledwo posuwaliśmy się trzy mile na godzinę.

Po kilku godzinach morze tak się wzburzyło, iż kapitan wydał rozkaz podpłynięcia bliżej lądu, aby mieć zapewnione schronienie w pierwszym lepszym porcie spotkanym po drodze.

¹⁾ Mandaryn, którego zdrada błatwila Francuzom zdobycie Kochinchiny. Fang-tan-gian dręczony wyrzutami sumienia, odebrał sobie wkrótce potem życie, a synowie jego zaprzysięgli Francuzom wieczną nienawiść.

Zatrzymaliśmy się najpierw w zatoce Xuandai, a zmuszeni stać tam czterdzieści ośm godzin, mieliśmy dosyć czasu na zwiedzenie wybrzeża i upolowanie, ku wielkiej radości naszego szafarza, mnóstwa tłustych przepiórek osobnego rodzaju, znajdujących się w tych okolicach w niezmiernej ilości.

Niemogąc jednak w Xuandai pozostawać wiecznie, gdy się wiatr nieco uciszył, wypłynęliśmy na pełne morze, ale wkrótce znów musieliśmy szukać nowego przytułku. Pewnego poranku pogoda zdawała się utrwać, płynęliśmy swobodnie; jednakże kapitana naszego okrętu, doświadczonego marynarza, niezadawalniała ona wcale; zamysłony chodź po pokładzie szerokimi krokami, wietrząc, że się tak wyrażę, burzę w powietrzu. Około dziesiątej, po naradzie z najstarszym officerem, polecił zwrócić ster ku lądowi. Nic napozór nie usprawiedliwiała tego postanowienia; morze spokojne było zupełnie, tylko barometr wskazywał chwilami niepokojące zmiany.

O jedenastej byliśmy już pod osłoną małej wyspki Kulao-Kam. Spokój na morzu przedłużał się, barometr odzyskał równowagę. Kapitan, z początku bardzo zaniepokojony, sądził już, że się zupełnie pomylił, i wydał rozkaz poruszenia okrętu; miano już właśnie zawrócić, gdy nagle przeszedł ponad wyspą prąd wiatru, niesłychanej gwałtowności. Więc też, zamiast podnosić kotwicę, spuszczone drugą, schylo no maszty i przymocowano łodzie. Dowódca kanonierki, podporucznik marynarki, zabrał cożywiej załogę i przybił do lądu, a w tej pośpiesznej i bezładnej ucieczce zapomniał nawet zabrać żywność, i musiał wraz ze swą załogą, przez czterdzieści ośm godzin karmić się ryżem, jedynym zapasem, jaki pozostawiono na kanonierce na czas trwania podróży.

Tymczasem burza szalała z coraz większą siłą, lejąc na nas strumienie deszczu. Okręt nasz stał na kotwicy blisko lądu, na wodach prawie spokojnych; mogliśmy więc bez wielkiej trwogi, czując się względnie zabezpieczonymi, patrzeć na ten obraz pełen grozy, na to zjawisko przerażające, zwane trąbą morską. Był to widok straszny i zarazem wspaniały. Trudno sobie wyobrazić siłę szalonego wichru. Pokład okrętu trzął się cały, jakgdybyśmy się znajdowali na pełnym morzu. Officer służbowy z trudnością mógł ustać. Ponad naszymi głowami przelatowały bezustannie niezliczone gromady ptaków, burzą porwane. Na lądzie wszystko było zniszczone, nędzne chaty krajowców porozwalane, a drzewa, wyrwane z korzeniami, wiatr miotał niby żdźbła słomy.

Kapitan, zachwycony nieomylnością swego przecucia, odzyskał dobry humor, a chociaż niezupełnie był bez obawy co do ostatecznego zakończenia burzy, cieszył go jednak przeświadczenie rozumnego postąpienia — uratowania kanonierki od niechybnej zguby, a swego okrętu od przygody, której następstwa mogłyby się stać tragicznymi.

Burza szalała trzydzieści godzin. Nagle w połowie drugiego dnia nastąpiła cisza, spokój zupełny, bez najłżejszego nawet wietrzyku. Cożywo wówczas zabrano się do roboty; łańcuchy obydwóch kotwic poplątały się, a rzecz to niebezpieczna, należało je więc wyciągnąć, rozplatać i ukończyć tę czynność przed powrotem nawałnicy.

(Dalszy ciąg nastąpi)

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się artykuł 4-ty powieści pod tytułem: **Droga do serca.**

TREŚĆ. Z życia. — Miłość wieków ubiegłych, studjum, (dalszy ciąg), przez Maryana Dubieckiego. — Na Białym Zamku, powieść historyczna, (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego. — Róża, (dalszy ciąg), przez M. I. — Przegląd artystyczny, (dokończenie), przez Bronisława Zawadzkiego. — Wyprawa do Tonkinu, (dalszy ciąg).